

Józef Bartoszewicz

-1-

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Archiwum Uscholie 108

Rozmowa z panem Józefem Bartoszewiczem przeprowadzona we wsi
Folwarki Małe koło Białegostoku. 31.03.1989.

Nazywam się Józef Bartoszewicz, urodziłem się 26.12.1909 roku. Przed wojną byłem gospodarzem w Folwarkach Małych. Służbę wojskową odbywałem w 10 Dywizjonie Taborów. 25 sierpnia 1939 roku zostałem zmobilizowany do 3 Dywizjonu Taborów, do Sokółki. Z Sokółki wyjechaliśmy pod Zambrów, do Czerwonego Boru. Na stacji pobieraliśmy amunicję i wiali na zachód, na front. Potem cofaliśmy się na Bielsk, a z Bielska na Słonim. Pod Słonimem, 17 września, Sowieci rozbili nas. Nocowaliśmy w lesie, na poligonie. Sowieci obstawili nas czołgami. Rzucaliśmy swoje fury, karabiny na bok. Sami odchodziliśmy na drugi bok. Sowieci nie wykazili z czołgów. Potem wzięli nas wszystkich na bok, w szeregi. Zrewidowali, zabrali broń i popędzili do Nowej Myszy koło Baranowicz. Tam dojechaliśmy jeszcze naszymi furami. W Nowej Myszy Sowieci od nas wszystko odjęli, zabrali to, a nas popędzili bokiem szosy pięć kilometrów do Baranowicz. Tam wsadzili nas do więzienia. Więzienie było rozbite, zakrwawione. Nie wiem kogo tam pozabijali. Pamiętam, ja tam spałem dwie doby. Taki był zmęczony, zmoczony przez deszcz. Spaliśmy na siennikach w tych pokojach więźniów. Byliśmy tam wszyscy razem: oficerowie i żołnierze. Na drugi czy trzeci dzień powiedzieli, żebyśmy wyszli na plac i tam nam wszystko odjęli. Pasy, tyłki, noże, nawet sznurówki. Wszystko nam było odebrane. Były podstawione wagony towarowe i nas wszystkich pod konwojem zapędzili do wagonów i zamknęli na kłódkę. Nie wiedzieliśmy gdzie nas wiozą. W więzieniu była nie tylko moja kompania. Transport składał się chyba z 70 wagonów. Do pulmanów było ładowanych po 60 osób, a do mniejszych, piętnasto

tonowych po 30 osób. To były zwykłe wagony towarowe, bez żadnej pryczy, niczego. Jechaliśmy około dwóch tygodni. Były częste postoje, bo wojsko sowieckie szło na zachód. Tak dowiedzieli nas do Starobielska. Byliśmy konwojowani przez żołnierzy. Oni zachowywali się bardzo źle wobec Polaków. Nie widziałem, żeby wtedy kogoś zastrzelili, o tym opowiem potem.

W Starobielsku było nas około 10 tysięcy. Tam oddzielili oficerów do innego budynku, wszystkich ich wtedy wynacali. Budynek ten był otoczony kolczastym drutem, wysokim na dwa metry. Żołnierze byli osobno. Mieszkali w cerkwi, gdzie porobiono prycze. Była ona cała zapełniona. Ja nie mieszkalem w cerkwi, a w takim zwyczajnym budynku. W jednym dużym pokoju było nas 300 osób. Tam była betonowa podłoga, żadnego łóżka, nic. A było już koło 10 października, na dworze mróz był koło 10 stopni. Pokój miał z 5 metrów szerokości i 10 długości, może trochę więcej. Nie wszyscy mogli leżeć na podłodze, niektórzy siedzieli. Nie było żadnych sienników. Jak kto miał płaszcz, to miał. Jak nie... Na tym betonie byliśmy prawie dwa tygodnie. Potem pospisywali nas i mówili, że odeślą do Polski. Z tego budynku, gdzie mieszkaliśmy, byliśmy wywoływani. Przychodził bojec i zabierał człowieka. Pytali o rok urodzenia, imię ojca, czym zajmował się przed wojną, kim był w wojsku. O wszystkim pytywali, a potem pozwalali odejść. Za jakiś czas, w nocy, czy kiedy, znów było to samo. I tak trzy, cztery razy. Patrzyli, czy czego nie bądziesz plątał.

W Starobielsku były dwa obozy. Ja byłem w tym przy monastyrze. Monastyr był otoczony dwurzędowymi drutami kolczastymi wysokimi na dwa metry. Był też rów z wodą, kanał. Nie wiem czy wszędzie, ale z jednej strony na pewno. Była brama od ulicy i druga, która prowadziła na wyrabany las. W środku byli jesz-

cze odgrodzeni oficerowie. Z nimi był mój kolega, Janek Romanowicz, nawet nie oficer. Był on powołany na straż kolejową. Miał czapkę, milicyjne ubranie i za to go wzięli do oficerów. Jak odjeżdżałem, to rozmawiałem z nim przez druty. Pracował na kuchni. Mówił: "Ty jedziesz, ale ja nie wiem czy pojedę". Policja była tam razem z oficerami.

W obozie strażnicy zachowywali się normalnie, nie bili, na razie. W Starobielsku było bardzo źle z jedzeniem. Dawali liter takiej zupki na osobę. Było nas tam około 10 tysięcy i kuchnia nie była przygotowana na tylu ludzi. Dawali 400 gram chleba, nie więcej. Takie było życie. Dużo ludzi było takich niecierpliwych, że szli po śmietnikach, grzebali w liściach kapusty. Zapali kartofle, jak furman wiózek je do kuchni i jedli surowe. Potem była dezynteria, inne choroby. Człowiek nie był przyzwyczajony do takiego życia. Nie było żadnych warunków sanitarnych, nic. Ludzie żyli tylko z tego co im dawali Sowieci. Może czasem ktoś złapał kawałek słoniny, chleba. Ale to miał tylko na parę dni. Było ciężko. Żołnierze zachowywali się tam wobec siebie dobrze, nie donosili. To było dopiero potem.

Pierwszy transport z ludźmi z białostockiego odjechał do Polski w końcu października. Mówili, że było ich 1500. Rozdzielili nas tak: Wszystkich z białostockiego wypędzili z budynków, cerkwi na plac i ustawili czwórkami. Było nas 1800 osób. My, z tego pierwszego budynku staliśmy blisko bramy wychodzącej na ulicę. Myśleliśmy, że tedy pójdziem na stację. A oni puścili nas tylną bramą, na wyrębisko lasu. My szli, szli, a oni liczyli. Naliczyli półtora tysiąca i powiedzieli "chwatit" Ci co wyszli za bramę, byli wywoływani. Jak usłyszał swoje nazwisko, odezwał się, to poszedł. Jak nie, to zawrócili. Cze-

kaliśmy tydzień, kiedy pojedziem. Mówili, że nie ma eszelonu, nie ma tamtego... Aż powiedzieli, że wyjedziemy. Ale ci, co wyjeżdżali poprzednio, nie dostawali nic na drogę. A nam dali rącznik, kawałek mydła, chleb na jeden dzień. To myślę sobie: "Coś nie richtig tu będzie." Zakładowali nas do wagonów. Nie zamykali nas, ale bojcy jechali w jednym wagonie. Jak pociąg stał na stacji, to można było wyjść oprawić się, czy coś. Nie tak jak przedtem. Było nas półtora tysiąca. Trzysta osób z biakostockiego, a reszta z nowogródzkiego. Do Smoleńska myśmy jechali w otwartych wagonach, były w nich prycze. Ludzie orientowali się, że dobrze, na zachód jedziem. W Smoleńsku zaprowadzili nas do dużej wojskowej stołówki. Dali nam obiad. Siedzieliśmy po pięciu przy stołach, każdy nalewał sobie zupy, dostał kawałek chleba. Potem bojcy zapędzili nas do pociągu. Ale wagony już pozamykali, żeby nikt nie mógł uciekać. Zmieni-
li kierunek jazdy. Żołnierze orientowali się, że nie jada do domu. Jechaliśmy kilka tygodni. Zatrzymaliśmy się na jedzenie na stacji Wachmistrz i potem dojechaliśmy do Krzywego Rogu. Były tam kopalnie rudy żelaznej i huty, bardzo dużo. Sowieci odczepiali po dwa wagony na stacji i rozwozili nas do różnych kopalni. W naszych wagonach było 200 ludzi. Ja popadłem na stację Pierwomajka. Pracowałem w kopalni "Woroszyłow". Przejechaliśmy tam w grudniu. Wszystko było dla nas przygotowane. Obóz ogrodzony, obciążony drutem, strażnicze wieże. Tam nas spisali i podzielili na zmiany. Trzeba było jeździć do szachty na dół, pięćset metry pod ziemię. Wszyscy Polacy byli cały czas pod kontrolą enkawudzistów. Oni prowadzili nas do kopalni i zdawali na dziesiątnika. Nadole dziesiątnik pokazywał co robić. Trzeba było podstawiać wózek i tej rudy nazrywać. Wózki były na szynach, po 12 ton każdy. Na dole nikt żołnie-

rzy nie gonik do roboty. Ale musowo było robić. Bo jak nie wyrobił normy to dostawał drugi kocioł, czyli 400 gram chleba. Jak wyrobisz normę było 800 gram, czyli cała porcja. Czasem dawali tylko 200 gram chleba i oczywiście tą zupę. Tylko tym jedzeniem nas naganiali do roboty. Ale wszystko zależało od dziesiątnika. Jeżeli zapisał, że cokolwiek robisz, to było dobrze. Ale byli tacy, że nic ich nie obchodziło. Chcesz rób, chcesz nie rób, on tobie nic nie zapisze i niczego nie masz. Jak dziesiątnik zapisał "nieuważительно" znaczyło, że człowiek nic nie robił i musiał dostać ostatni kocioł. Tak, że ja robił cały miesiąc i kiedy przyszło się do zapłaty, bo niektórym płacili, to byłem 60 rubli dla nich jeszcze winien. Nie było na papierosy, na nic. Starsi Rosjanie byli tam dla nas życzliwi. Strażników obchodziło też tylko to, żeby nikt nie uciekł. Jak człowiek zjechał na dół, czy pracował na wierzchu to za niego odpowiadał dziesiątnik. Dziesiątnikami byli Rosjanie. W kwietniu 1940 roku zachorowałem na plecy, zastudziłem się tam pod ziemią. Chodziłem na lampy, można powiedzieć, że kombinowałem, żeby wyleść stamtąd, bo to była bardzo ciężka robota. Pracowało się po 8 godzin na trzy zmiany. Raz popadło w dzień, raz w nocy. Ale nawet u lekarza nie można było dobić się prawdy. Mnie od kwietnia do maja zwolnił lekarz, że nie mogą jeździć do kopalni, to ja chodził na budowę wieszac "karpicz", rozrabiać beton. Na dworku słonko świeciło, było lepiej. Potem przywieźli nas wszystkich do Polski, do majątku Tuligłowa pod Lwowem. Tam w stajniach porobione były już dla nas prycze. Sowieci zaczęli budować tam szosę Przemysł-Iwów-Kijów. Wszędzie nawożony był czarny kamień kupany z kamieniołomów. Trzeba nam było bić te kamienie na drodze. Zimą porą 1940-41 były silne zawieje i brygadami, po dwudziestu

ludzi, odrzucaliśmy z drogi śnieg. A ^owiśna zaczęli bić młotkami kamienie na szosie. W 1941 roku, do wojny, byłem w Tuliłowach, Czerlanach, Przemysłu. Wszędzie trzeba było bić kamienie. Na normę trzeba było nabić ich metr (metr szerokości, dwa długości). Wtedy dostawało się 300 gram chleba. Ale mało kto tyle nabił i ciężko było z życiem, głód. Trzeba było tym młotkiem postukać! Zawsze kombinowało się. Albo gruby kamień obłożyc innymi, albo inaczej. Bojów nic nie obchodziła ta robota. Chcesz bij, chcesz nie bij, chcesz siedź. Tylko żeby nie uciec. Bojcy obchodzili się wtedy z nami dobrze. Był tam ze mną Iwacewicz z Dużych Polwark i on uciekł. Chował się w domu, ale go znaleźli. Przywieźli go z powrotem, posiedział w areszcie i wrócił do roboty. Nie było sensu uciekać, nie było gdzie się schować. W tym czasie raz odwiedziła mnie żona. Tak było do czerwca 1941 roku. Wtedy wybuchła wojna sowiecko-niemiecka. A przedtem byli sprzymierzeńcami, wieźli dla Niemca transporty z Polski, ropę. Kiedy wybuchła wojna byłem w Czerlanach, 70 kilometrów od Lwowa. Budowaliśmy z betonowych płyt lotnisko. To była niedziela, wschodziło słońce i wygonili nas do roboty. A w nocy słychać było już jakieś huk, bojcy też coś wiedzieli i podwoili ochronę. Widać było, że coś się zaczęło. Bo każdy czekał, żeby coś się stało, bo niemożliwością było tak dalej żyć, tak ciężko. I zanim żeśmy zabrali się do roboty widzimy, jak dwa sowieckie samoloty gonią jednego niemieckiego myśliwca. Zestrzelili go. Spadł jakieś dwa kilometry od nas.

Zaraz zabrali nas wszystkich z lotniska do baraków. Powiedzieli, żebyśmy przyszykowali się do wymarszu. O czwartej po obiedzie wszyscy powytrzasali swoje sienniki, zabrali co kto miał. Tam było spędzonych około dwa tysiące ludzi. Potem nas rozdzie-

lili. Szliśmy do Lwowa, 70 kilometrów, od czwartej po obiedzie do wschodu słońca, to jest do trzeciej rano. Przez Lwów przegonili nas biegiem. Kiedy samoloty bombardowały stacje kolejowe bojcy kazali nam położyć się. Potem znów poszliśmy "w pieród", w kierunku na Winniki. Pięć kilometrów dalej, w lasku, dali nam odpocząć. Przecież my szli przez całą noc. Nie każdy mógł iść, nie każdy miał buty. Po tej drodze to wszystko widziało się. Jak kto nie dał rady iść, a fura z nami nie było, to oni rozstrzeliwali, nie zostawiali ich. Z nimi zostawał bojec, a jak potem opowiadali jeńcy, którzy słyszeli, to bojcy mówili: "Ja z nim rozczitał się." A jak on rozczitał się, to kto jego wie? Na oczach tego nie robili. Na przodzie jechał sztabski na koniu, a z tyłu fura z prowiantem. W Winnikach trochę my odpoczęli, dali nam zjeść. Potem o 8 rano poszli dalej. Na noc wprowadzili nas do jakiegoś obozu. Z tego obozu ludzie już poszli, a nas wędzili na ich miejsce. Tam dali nam jeść. Widziało się po drodze, że tam leży gdzieś człowiek z grabiami, tam kobieta. Bojcy sami strzelali jak widzieli, że ktoś daleko na polu robi. Chyba nawet partyzanci strzelali do nas. Może chcieli nas odbić, nie wiem.

Jak myśmy wchodzili i wychodzili z tych obozów na trasie to nas liczyli. A kiedy nie zgadzała się liczba tych, których wpuścili do obozu, to staliśmy jak do marszu i oni przetrząsali obóz. Byli tacy, którzy wleźli pod podłogę, do kuchni, żeby zostać. Myśleli, że oni nie doliczą się. Bojcy nie wracali już nikogo stamtąd. Tylko strzepy było słychać. Rozstrzeliwali ludzi.

A już w Zborowie to sam widziałem. Chowaliśmy sześciu żołnierzy. W Zborowie pod kuchnią była wykopana piwnica, a w niej po kolana wody. Oni byli w tej wodzie. Byli zastrzeleni. Mie-

li plecaki, kufajki, jak my. Przy jednym znaleźliśmy list z domu, z Warszawy. Nazwiska nie pamiętam. Żołnierze wysłali powiadomienie do Warszawy. Nie wiem czy dotarło. Myśmy prosili, żeby ich było można pochować za parkanen, na polu. Wykopaliśmy jamę i te sześć osób pochowali.

Ze Zborowa my poszli do Złoczowa. Byli tam okopani Sowieci, nie chcieli nas puścić przez ten front. Widać było zamaskowane w zbożu karabiny maszynowe. W końcu zgodzili się przepuścić nas biegiem przez Złoczów. Dalej była kopalnia gliny, duże jamy. Wpędzili nas do tych jam, bo już był wieczór. Po drodze nikomu nie dali pić. Ludzie mehańkami brali wodę z rynsztoków, od studni, z gnojówek. Jak były postoje, to na gołym polu. W tych jamach odpoczęliśmy, a niemieckie samoloty ostrzelały bojców. Gdyby zasiali z karabinów po tych jamach, z nas byłaby ~~z nas~~ kasza. Potem, kiedy już szliśmy w nocy, popędzili nas z drogi na bok, w łękę. Myśleliśmy, że oni nas będą rozstrzeliwać. Każdy pchał się, żeby być dalej. Jakiś żołnierz wpadł na bojca, a on chciał go sztykiem przebić. Ktoś krzyknął: "Zlitujcie się." Myślałem sobie: "Wystrzelają!" Jak wpadliśmy na tę łękę, to każdy chciał w ziemię wleść, żeby jak strzelali, to nie w niego. Ale oni musieli nas zgonić z szosy, bo my (dwa tysiące, ustawieni czwórkami) tarasowali drogę dla czołgów. Tak całą noc przeleżeliśmy. Potem znowu w czwórki i dalej... Tak doszliśmy do Podwołoczyska. Stacja była rozbita, Niemcy wszystko zbombardowali. Popędzili nas trochę dalej i wsadzili do pociągu. Wtedy nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły nas bombardować. Trafili jeden wagon, zabili trochę ludzi. Krzyk, huk! Sowieci sami pouciekali, pokładli się na ziemię, a my siedzieliśmy w wagonach. Potem pojechaliśmy do Białej Cerkwi. Tam też był obóz, monastyr, cer-

kiew. To był duży obóz, parę tysięcy ludzi. Był na uboczu miasta. Trzymali ludzi w cerkwi. Przecież wszystkie cerkwie były polikwidowane, a w nich porobili obozy. Trzymali tam i swoich. Mieszkalismy w barakach, gdzie było pełno pluskiew. Obóz był otoczony drutami i pilnowany przez Ruskich. Jedzenie było bardzo marnie. Zgniła ryba i zupa z tej ryby.

Kiedy wyładowali nas tam, to było już słychać, że Anglia upomina się o polskich żołnierzy. Do tego obozu przyjechał z Anglii organizować wojsko pułkownik Wiśniewski. Tam też zaczęli nas spisywać, ale nie Sowietci, Polacy. W jakiej kto był formacji, jaki miał stopień. Organizowali nas. Spis trwał może dwa tygodnie, może więcej. I tam Sowietci wypłacili nam odszkodowanie, po 500 rubli na głowę. Wtedy nasze dowództwo objęło ten obóz. Gdzieś koło pałdziernika, kiedy wszystko było gotowe, zakładowali nas na pociągi i zawieźli na jakiś sowiecki poligon. Nie pamiętam dobrze nazwy tej miejscowości, to chyba był Jakubak. Z dowództwa pamiętam tylko płk. Wiśniewskiego. Ale byli w nim też ludzie z nas: żołnierzy, żegierników. Zapisali mnie do 17 Pułku Piechoty. Było nas na tym poligonie bardzo dużo. Mielismy namioty, wkopane do połowy w ziemię. Tam była odprawiona pierwsza msza. Kiedy nadchodziła zima trzeba było ten obóz likwidować. Nas wywieźli do miejscowości Znamienka, do lasu. Stał tam pułk piechoty, pułk kawalerii i pułk żydowski utworzony z polskich Żydów. Była tam leśniczówka, a dookoła pokopali my sobie dziury na namioty i w nich zimowali. A mróz był wtedy do 60 stopni, każdy przemarzał. Było nas po dwunastu w namiocie. Położy się człowiek spać i czupryna przymarznie do tego namiotu. Ale czasami nie dali rady zasnąć. Najmniej 10-15 razy musieli wyjść na dwór, tak poprzemarzały pecherze. Stamtąd jeździłem 50 kilometrów sankami

po zaopatrzenie. Byłem już wtedy podoficerem, dostałem kap-
rała. Jechałem z Sowietem, przewodnikiem, w cztery fury po kar-
tofli. Na polach stała nie zbita pszenica, słoneczniki. Kar-
tofle były w zbitej z desek szopie, zasypane, zmarznięte. Brzę-
czały jak kamienie. Nasypali w kibitki kartofli i pojechali
do jednostki. Zabłądzili nawet po drodze. Jechali po śniegu,
pszenicy, przez wawozy. Przyjechali na drugi dzień, wysypali
kartofle przed kuchnią i to było całe jedzenie.

W lutym, na gromnice, przyszedł rozkaz, że pojedziem aż do
Uzbekistanu, do Taszkientu. Sowietci podstawili wagony i my-
my wszystko do nich załadowali, co kto miał. Dowódca zarządził,
żeby zabrać ze sobą wagon drzewa. Jechaliśmy więcej jak dwa
tygodnie. W Taszkientie nie było już zimno, tylko deszcze.
Zatrzymaliśmy się na stacji Guzar, 100 kilometry za Taszkien-
tem. Sowietci wydali nam karabiny, może jakieś dziesięć sztuk,
do szkolenia. Wszyscy wychodzili na stepy i szkolili się. By-
li tam ludzie, którzy zostali wywiezieni, żołnierze. Ludzie
ściągali z daleka rodziny bo dowódca nasz, Anders chciał wszy-
tkich zabrać, jak najwięcej. Dzieci, kobiety, wszystkich. A
Sowieci dali tylko 40 tysięcy porcji. Tylko dla żołnierzy Ste-
lin dał. A trzeba było utrzymać ludzi więcej, więc dzielili
z porcji żołnierskich. I z jedzeniem było słabo. My mieli na-
dzieję, że z tej Rosji wyjedziem i chcieli jak najwięcej ludzi
wyciągnąć. Sowietci chcieli nas rzucić razem ze swoją armią
na front. W lutym wypuścili z Rosji jeden transport, a drugie-
go nie chcieli. Stalin wiedział, że wypuszcza wrogów. Wyjecha-
liśmy z Guzaru w sierpniu. Tam było już bardzo dużo angiels-
kiego wyposażenia: umundurowania, butów, wszystkiego. Całe
bele tego zostały na stacji, dla Sowietów. Nam dali po dwie
pary wszystkiego. Po dwa koce, a jak kto chciał to dostał by

nawet trzy, ale to wszystko trzeba było na sobie dźwigać. Sowieci podstawili pociąg i pojechaliśmy w kierunku Krasnowodska na Kaukazie. Jechaliśmy naokoło, bo tam byli już Niemcy. W Krasnowodsku załadowali nas na okręt. Ludzi w tym czasie tak chorowali na biegunki, na tyfus, że wprost na tym statku jak most wszyscy leżeli. Aby tylko wyjechać. Tak, 23.08.1942 roku, przyjechaliśmy do Persji, na drugą stronę Morza Kaspijskiego.

Rosję opuszczaliśmy z chęcią, z entuzjazmem. Aby choć wyjść! Człowiek był zadowolony, że wyrwa się. Jak już przekroczył granicę, to jakby w niebie narodził się. Bo już wiedział, że nie jest w ich rękach. Bo człowiek to wszystko widział, wszystko to na sercu miał, że tam wszystko fałsz, obłuda. Na koniec Rosjanie odnosili się do nas dobrze, pozwolili szukać wszystkich żołnierzy, oficerów. Anders jeździł po Rosji. Przecież on dostał się do niewoli we Lwowie i jego potem przywieźli do Rosji. Żeby był razem ze wszystkimi, to by spoczywał, gdzie spoczywają inni oficerowie. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze o Katyniu, ale Anders ich szukał. A ich ciągle brakowało. Rosjanie mówili, że nie wiedzą o nich. Że może Niemiec zabrał, może puciekali. Takie mieli tłumaczenie.

Kiedy przyjechaliśmy do Persji, do Tachlewa, to tam już było dobrze. Persowie handlowali z nami. Żołnierze dostawali co 10 dni żołd, mieli pieniądze. Tam odbyliśmy się bardzo. Bo Anders nie zgodził się, żeby wycieńczonych żołnierzy oddać na front. Ale było przecież dużo ludzi, którzy nie mogli wyjechać z naszymi z Rosji. Zostało też dużo takich co byli na stronie Ruskich. W naszych obozach dla nich donosili. Pamiętam jednego. Nazywał się Boś i pochodził spod Wilna.

We wrześniu 1942 roku wyjechaliśmy z Persji do Iraku. Stane-

liśmy w Chabanije. Tam szkolili nas i dostaliśmy sprzęt. Tworzyli formacje i oddziały. Ja należałem do lekkiej artylerii przeciwlotniczej. Mieliśmy działa, skończyłem kurs kierowcy. W sierpniu 1943 wyjechaliśmy do Palestyny. Tam były manewry razem z armią angielską i amerykańską. W październiku 1943 wyjechaliśmy do Egiptu. W marcu 1944 z Port Said do Włoch. We Włoszech wylądowałem w Bari. Moja bateria przyjechała tam pierwsza, ja zostałem w Egipcie na likwidowanie obozu i przyjechałem później. Szliśmy przez Apeniny, Monte Cassino. Generał Anders zgodził się wejść tam do akcji. Zakładał nas, że dużo zginie, ale trzeba było pokazać, że żołnierz polski wszędzie walczy. Dalej szliśmy przez Anconę (zabito tam mojego kolego) Rimini, Rawennę, Ferrarę i aż do Bolonii. W Bolonii był koniec wojny. Wróciliśmy do Rimini i tam stacjonowaliśmy przez dłuższy czas. W 1946 nasze oddziały wyjechały do Angli, ale ja zostałem jeszcze we Włoszech. Zdawaliśmy sprzęt Włochom. Z Włoch wyjechałem do Anglii, do swojego oddziału. Zastanawiałem się co mam robić.

Żołnierze słyszeli, że w tu w Polsce po prostu bandyctwo było. Ja sam myślałem sobie czy wracać, czy nie. Bo do nas dochodziły odgłosy, że żołnierz pojechał z zachodu i w wiosce zamordowali jego, nie doszedł do domu nawet. Jednym słowem źle było w kraju. Była partyzantka i wszystko na swoje kopytę robiła, byli przeciw Sowieci. Żołnierze mówili, że my źle zrobiliśmy. Bo my chcieli iść do Polski przez Bałkany z całym naszym wojskiem. A nasi sprzymierzeńcy porobili podzięk całej Polsce. Zgodzili się na to w Jałcie. Stalin ich tam odpuścił. I Polacy nie dostali nic, chociaż walczyli. Amerykanie i Anglicy zrobili nam dużo złego w Jałcie.

W Angli byłem przez dwa lata, w 1947 i 1948. Byliśmy tam w

obozach przejściowych. Niektórzy wyjeżdżali, jak kto miał znajomych, do Ameryki, do innych krajów. Powiedzieli, że kto chce może jechać do kraju. Po niewoli nikogo nie wyrzucali.

Myslałem sobie: "Oj ja zostawił ojca, około dziewięćdziesiątki i żonę zostawił, i mam tu 7 hektary ziemi. To trzeba mi wracać do domu." Przez całe te lata ja nie dawał wiadomości, nie mogłem. Ale jak przyjechał do domu, to też był szykanowany.

Przez trzy lata UB pytało o mnie w gminie czy nie jestem szpieg, czy listów z Anglii nie dostaję.

Jak przyjechałem do domu, to nawet okien w mieszkaniu nie było. Nie było podłogi, pieców. Jak chodziłem do gminy, to materiałów do budowy dla mnie nie było. Ale to cała Polska zrujnowana była. Widziałem Warszawę, same gruzy. Ale tutaj stopniowo dawałem sobie radę. Sąsiedzi przyjęli mnie dobrze, ale pomocy żadnej nie dali, sami byli tacy jak ja. Powywożone, rozrabowane wszystko.

W ten czas człowiek, co był na zachodzie, trefny był. Raz do mnie milicja przyszła do mieszkania i zobaczyli ten atlas.

Wziął do ręki i mówi: "To angielski. A czemu pan tam był?"

Ja mówię: "Los tak rzucił." On mówi: "To pan nie chciał stąd iść (z wojskiem Berlinga) i tam poszedł." A ja mówię: "Proszę pana, jeżeli pan bił z przodu, to ja z tyłu. My jednego wroga bili." Ja starał się wyrwać z Rosji. Jakby szedł tą drogą, stąd, to by na pewno nie przyszedł. No, może jakby Pan Bóg pozwolił. Bo tu też nakładli niemało ludzi. Sowieci nie żalowali Polaków, jak tamta strona żalowała swoich ludzi. Ale i tam musieli padać, umierać. A tu mówili, że Sowieci, gdzie najgorzej sami nie poszli, tylko pchali tę garstkę Polaków. Do Polski wróciłem też dlatego, że żona młoda tu była. Mój ślub był w lutym 1939 roku. Pięć miesięcy potem mnie zmobili-

zowali. Ciagnęło mnie tutaj. Żebym choć skończył jaką szkołę to tam by został i przyciągnął żonę. Ale chciało się po tych przeżyciach wrócić. Tak sobie nieraz pomyślał: "Aby zaszedł na próg, pocałował ten próg, to mógłby zaraz skończyć się, umrzeć." Tak chęć była do domu wrócić.

Spis nazwisk:

Iwacewicz

Romanowicz Jan

Wisniewski, pułkownik.